



WIKTOR TOMASZ GRUDZIŃ ur. 1962; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Ja mówię: "Zaraz nas spalisz"
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	drukarze, opozycja, drugi obieg, bibuła, wolne słowo

Ja mówię: "Zaraz nas spalisz"

Technika sitodruku wymaga kilku w miarę łatwych do zdobycia rzeczy. Potrzebny jest między innymi jedwab sztuczny, rama. Jest to bardzo tania i spokojna technika, w której dwie osoby, mając wszystkie odczynniki, mogą wykonać wydruk, a cały warsztat zamyka się w jednej walizce. Także jest to piękna sprawa dla wszystkich konspiracji. Tym bardziej, że jakość papieru nie jest aż tak ważna jak przy innych sposobach drukowania. Oczywiście do pewnych granic. Do uzyskania farby potrzebny jest pigment: czarny albo granatowy, ewentualnie. Pigment potrzebuje zagęstnika, czyli jakiejś podstawy, którą by był przenoszony. Bo sam pigment jest zwykle proszkiem. Albo skondensowaną pastą. Należy więc go dodać w odpowiednich proporcjach do puszki właśnie pasty Komfort czy BHP i dokładnie rozwieźć.

Pasta BHP miała szorstkość. Były różne rodzaje BHP. Staraliśmy się wybierać taką, która nie miała substancji ciernych w środku. Bo niektóre je miały i to wykluczało możliwość zastosowania ich do wyrobu farby. Jeżeli chodzi o pastę Komfort, to była bardzo dobrym zagęstnikiem, ponieważ miała tak umiarkowaną śliskość i odpowiednią gęstość, tak że farba później ładnie przechodziła przez sito i nie wymagała dużego nacisku, a nie lała się. Można było regulować nacisk rakłą. A to też trzeba umieć, raklować. Drugim takim zagęstnikiem był krem do golenia. Też używaliśmy. Kolor zagęstnika nie miał dużego znaczenia, gdyż i tak dodawany był ciemny pigment. Wszystko mieszałyśmy w proporcjach: 2 łyżki stołowe na puszkę. Innej metody nie było, ponieważ sitodruk nie był wtedy znaną metodą. W dzisiejszych czasach to jest stosowany w nadrukach na koszulkach. Można projekt i koszulkę wykonać w ciągu dwóch godzin, jak się ktoś uprze. W tamtych czasach nie było tak łatwo. Cały warsztat sitodrukowy był robiony w sposób chałupniczy. Oprócz jedwabiu sztucznego. No, ten to trzeba było jednak zdobyć. Zwykle go mieliśmy. Nie wiem nawet skąd, czy z zagranicy czy nie, ale mieliśmy znaczne ilości. Pamiętam żółty jedwab i biały, dwa rodzaje jakoś tak mieliśmy. W każdym razie nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek jedwabiu zabrakło. Trzeba nim było obciągnąć ramę i ładnie go opinezkować czy opiąć zszywaczem. Następnie należało nanieść emulsję światłoczułą. Składało się na nią dwa składniki. To nie stanowiło problemu ponieważ chemicy natychmiast dostarczali wszystkiego, czego było nam potrzeba. Mieszałyśmy je w odpowiednich proporcjach w łaźience, przy czerwonym światelku, uzyskiwaliśmy emulsję światłoczułą i następnie rozprowadzaliśmy ją małą rakłą na sicie, czyli na tym jedwabiu. Na to kładliśmy szybko z diapozytywami, naświetlaliśmy

reflektorem 2000W. Utwardzało się światłem wszystko dookoła tekstu diapozytywu. Wypłukiwaliśmy to prysznicem, i uzyskiwaliśmy w ten sposób sito. Sito trzeba było przykręcić do deski kreślarskiej albo innej równej powierzchni. Następnie podkładaliśmy papier. Rozprowadzaliśmy szpachlę wymieszaną już farbą i rakłą się robiliśmy 3 czy 4 próbne wydruki. I tak pracowaliśmy: jeden raklował, drugi odbierał. Najlepiej słuchało nam się przy tym opery. Rock odpada, ponieważ praca jest zbyt monotonna. W życiu tyle oper nie wysłuchałem, co przy raklowaniu i składaniu. Zacząłem niemal rozpoznawać opery. Ja, zupełnie laik w tych sprawach. Taka muzyka najbardziej uspokaja, jeśli się pracuje w ten sposób nawet 12 godzin dziennie. Rekord ustanowił Wiesio Haley. Przesiedział trzydzieści godzin przy Gestetnerze! Chciał skończyć książkę. Pił strasznie mocną herbatę. U mnie w domu. To było jakoś tak, że musieliśmy się zaraz związać z domu drukarnie Wymienialiśmy się przy maszynie. Ja poszedłem w końcu spać, bo zaczynało już świtać. A on został. Ja wstaję po południu, a on siedzi dalej, pali te papierochy, Carmeny. Cały pokój na dole, gdzie była ta nasza drukarnia, zapaskudzony odrzutami. A Wiesio pali. Pije już szóstą herbatę, taki czaj, i pali te Carmeny, Ja mówię: „Zaraz nas spalisz”. A on: „Zobacz, która godzina. Skończyłem książkę! Trzydzieści godzin na nogach!” Ale to była konieczność.

Przy tej pracy dużo się gada, poznaje się drugiego człowieka. To trochę tak, jak w więzieniu, bo cisza, spokój i nie ma co robić, opera leci, albo coś innego uspokajającego, to się gawędzi. Także druk nie był problemem. Nawet ja, człowiek o ograniczonych możliwościach technicznych, spokojnie sobie z tym radziłem. Potrzebowałem tylko drugiej osoby do odbierania wydruku. Wciąż mógłbym to robić. Mam jeszcze jakiś sprzęt, choć większość oddałem na wystawy, do muzeum. Mam jeszcze blachy offsetowe. Nie zostało dużo po epoce powielaczowej, czyli Cyklosowo-Gestetnerowej. Wtedy zasady konspiracji były o wiele ostrzejsze. Niewiele gromadziłem takich rzeczy, które mogłyby służyć jako dowody w ewentualnym procesie.

Jeżeli chodzi o powielacz, jest to technika maszyny obrotowej. Pisze się matrycę, na normalnej maszynie do pisania tekst, która jest potem naciągana na wał. Następnie na ten wał i na tę matrycę idzie z podajnika farby farba i łąpie między dwa wały kartkę papieru, dokonując wydruku. To jest technika powielaczowa, czyli potrzebne są matryce, które mają wgłębione litery, wkłęsłe. Drugą techniką, która przyszła po tej, była maszyna offsetowa. Offset potrzebuje na początek diapozytywów, które są nanoszone na blachy i jest to technika wydruku wypukłego. Na blasze są wypukłości w postaci liter. Naciąga się to na jeden wał. Potem on dostaje z podajnika farby farbę, na te wypukłości. Wał przenosi tekst na drugi gumowy wał i ten dopiero, łąpiąc kartkę między trzeci wał i siebie, dokonuje wydruku. Pomiedzy tymi dwoma maszynami jest jeszcze różnica w podajniku farby i podajniku papieru. W powielaczach podajniki farby były zazwyczaj tłokowe, a przy offsecie był tak zwany kałamarz, czyli zespół farbowy, który rozciera między kilkoma-kilkunastoma wałkami farbę i zdecydowanie lepiej ta farba jest roztarta i lepiej rozprowadzona po matrycy niż w powielaczu normalnym. A różnica w podajniku papieru polegała na tym, że niektóre offsety miały podajnik pneumatyczny, no ale takich to niestety w podziemi nie widziałem. Dopiero potem, w drukarniach.

Technikę sitodruku zaszczepił w Lublinie prawdopodobnie profesor Kersten. Stąd jego przezwisko: Lord Komfort. Także to, jak mówiłem, trzeba mieć prostokątną ramę, najlepiej z drzewa, które wytrzyma wodę, bo inaczej łatwo się wypaczało. Sito trzeba moczyć i to długo. Obciąża się to sztucznym jedwabiem. Może oczywiście być naturalny, jeśli ktoś go ma za dużo. Na to się rozprowadza emulsję światłoczułą, którą łatwo uzyskać, gdy ma się dwa odczynniki i zmiesza się je w odpowiednich proporcjach. Można było to wykonać w łazience w domu u siebie. Potem się to nosiło w torbie w takiej oklejonej buteleczce, w drugiej walizce miało się matrycę

sitodrukową i deskę kreślarską zazwyczaj, ze względu na to, że była równa. Emulsję światłoczułą się rozprowadza na przykład na zewnętrznej stronie sita, nie wklęsłej, tylko zewnętrznej. Po wyschnięciu - to zwykle suszyło się suszarką do włosów, bardzo szybko - potem naklejało się na szybę diapozytywy, czyli fotografie stron. Kładło się to ładnie na jedwabiu powleczonym światłoczułą emulsją. Dwa tysiące wat żarówka. To był nieprzyjemny moment, ponieważ dotąd pracowało się w ciemni, przy czerwonym świetle, aby nie naświetlić emulsji, a tu trzask i daje po oczach. Naświetlało się to parę sekund, w zależności jak była ustawiona emulsja, ponieważ nie zawsze było tak samo. Trzeba było zgrać czas naświetlania z wrażliwością emulsji. Teoretycznie wszystko miało być utrwalone światłem, tylko nie tam, gdzie są litery na diapozytywach. Następnie próbowało się sito wypłukiwać prysznicem. Trochę jak płukanie złota. Ruchy są podobne. Potem sprawdza się to pod światło, pod to czerwone, czy jeszcze płukać, czy już nie. No i tu zawsze może być problem z emulsją. Jeżeli były źle dobrane współczynniki, to tekst był na przykład postrzępiony. Albo wypłukiwało całe dziury zamiast liter. Różne były problemy. Zwykle metodą prób i błędów uzyskiwaliśmy właściwą emulsję. Potem już się tak nauczyliśmy, że nie stanowiło to dla nas żadnego problemu. Pod warunkiem, że dostaliśmy te same odczynniki, w tym samym stężeniu. Także musieliśmy sobie przypomnieć te podstawy chemii dość szybko i czytać i prosić, żeby były te słoje anonimowe opisane.

Gdy już sito było wypłukane, montujemy je sobie na zawiaskach do deski kreślarskiej. Podkładało się coś brudnego, przylepiało się tam trochę papieru, żeby stanowił podstawę. No i rozprowadzało się szpachlą wymienioną już farbę wykonaną z zagęstnika i pigmentu i zaczyna się raklowanie.

Rakla to jest kawał gumy w kształcie listwy z rękojeścią drewnianą. Każdy sobie dobierał raklę do swojej ręki. Kolega miał większe ręce, to miał dłuższy ten uchwyt. Ja miałem krótszy. Także taki przyrząd, który powoduje, że rozprowadzając farbę po wewnętrznej stronie sita, przeciska się ją przez wypłukane dziury. I teraz jest kwestia tego, jak dobrze została zrobiona farba. Dobra nie lała się przez dziury i nie robiła kleksów. Jeśli zaś była za gęsta, to z trudem się raklowało. Wtedy trzeba było wkładać wysiłek. Jak się nie udało, trzeba było zdjąć sito. Gdy na przykład farba była nieudana. Znowu płukać, znowu suszyć, no i znowu potem jeszcze raz rozrzedzić farbę i próbować jeszcze raz i jeszcze raz. Trochę było to pracochłonne, trzeba przyznać, ale skuteczne. Cały ten warsztat można było wsadzić w jedną walizkę (deska, sita). Potem sita myło się odczynnikiem chemicznym i nadawały się do powtórnego użytku. Znowu się pokrywało emulsją, naświetlało, wypłukiwało i następne. Także potrzeba było mieć ze sobą cztery do sześciu sit, żeby zapewnić sobie ciągłość produkcji. A to bez problemu można było zmieścić w walizce. Potem trzeba było mieć emulsję, odczynniki do mycia. Potem no ten reflektor 2000 wat, suszarka do włosów i rakla żeby emulsję rozprowadzić, rakla do farby. Wystarczyło dwóch ludzi: jeden rakluje, drugi odbiera i po dwóch godzinach, czy tam jak się kto umówi oczywiście, jest zmiana.

Najbardziej rozpowszechnioną metodą z powyższych był zawsze sitodruk choć nie była najłatwiejsza. Wielu ludzi się o niego otarło, ponieważ był manufakturą rozproszoną, co umożliwiało właściwie każdemu podjęcie jakichś działań drukarskich, nawet jeśli ktoś nie miał wcześniej pojęcia o druku. Maszyn powielaczowych na początku lat osiemdziesiątych w Lublinie było ze dwie-trzy góra. Ten Cyklos, który był u mnie. Potem ta maszyna, na której Wojtek Guz drukował. No i potem Gestetner Wieśka Haleya. Raptem trzy maszyny o których wiem. Potem epoka sita powoduje, że wielu ludzi ociera się o to, drukuje, bo to i Jaś Pleszczyński i Wojtek Oleksiński i Jacek Grzemski. Wiesiek Ruchlicki po internowaniu wrócił do druku w tej technice. Arkadiusz Kutnowski chyba też. Dopiero potem utworzył sobie kontakt w Radomiu. Drukował też

na powielaczu, chyba z Wieśkiem Haleyem. Także sitodruk był dość popularny. Potem przyszły offsety. Taka maszyna waży ponad 50kg. Na przykład taki Roneo Vickers. Także samemu tego się nie weźmie, to na pewno. A druga sprawa, potrzebuje o wiele więcej papieru. Potrzebuje już profesjonalnych zmywaczy do blach, farb, wszelkiego rodzaju rozpuszczalników. Tego już się nie zrobi samemu. Potrzebne są też części zamienne. To jest już inny sposób traktowania drukarni podziemnej. Zupełnie inna koncepcja.

Data i miejsce nagrania	2006-09-07, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Nowosad
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"